Zabłocki Żółta szlafmyca.

# ŻÓŁTA SZLAFMYCA

ALBO

# KOLĘDA

NA NOWY ROK

---

OPERA

WE TRZECH AKTACH

PRZEZ

FRANCISZKA ZABŁOCKIEGO.

---

Lusimus haec nobis.

---



---



WILNO. Nakładem Alexandra Żołkowskiego
w Drukarni XX. Pijarów.
1820.

Dozwala się drukować pod tym warunkiem aby po wydrukowaniu nie piérwey wydawać zaczęto, aż będą złożone w Komitecie Cenzury exemplarze téy xięgi: ieden dla tegoż Komitetu, dwa dla Departamentu Ministeryum Oświecenia, dwa exemplarze dla Imperatorskiey publiczney Biblioteki, i ieden dla Imperatorskiey Akademii Nauk. Dan w Wilnie 1820. roku dnia 13 Maja.

*Radca Kollegialny Prof. Wysł. i Czł. Kom. Cenz*
*Ignacy Reszka.*

# ŻÓŁTA SZLAFMYCA

## OPERA

### WE TRZECH AKTACH.

# OSOBY.

Czesław.
Żona iego.
Zofia ich córka.
Prawnik.
Fircyk przyiaciel domu.
Sieciech kochaiący Zofią.
Traktyer.
Jan sługa Czesława.
Merkury.

*Scena w domu Czesława.*

# AKT PIERWSZY.

## SCENA I.

CZESŁAW, ZONA, ZOFIA, PRAWNIK, FIRCYK, TRAKTYER, JAN.

*Kończą przedwieczorną ucztę. Zofia gra na gitarze, Fircyk wtoruie na flotrowersie, Prawnik na basetli.*

ZOFIA.

*Pieśń.*

Basia lat dwanaście miała,
Kolędy się napierała;
Matka iey wstążkę kupiła.
Sztuczka wstążki? to nie siła,
Ale basia ieszcze mała
Lat tylko dwanaście miała.

Basia w rok więcey doyrzała,
Z kolędą się przypomniała,
I dostała dar od matki
Kalendarzyk, w nim zagadki.
Nad iedną się zamyślała,
Bo iuż lat trzynaście miała.

Rok cztérnasty, nie pomniała
O kolędzie, bo kochała.
Jaś dla niey kolęda miła,
Lecz się matka przeciwiła,

Mówiąc: ieszcześ nie doyrzała,
Nie będziesz go, Basiu, miała.

Rok piętnasty w chęciach cała,
Kolędy basia czekała.
W tym matula wchodzi z tatą
Witaią Basię kosmato:
Jużeś, iagodko, doyrzała;
Chcesz Jasia? będziesz go miała.

(*Wstaią wszyscy od stołu.*)

CZESŁAW.

Co za radość dla dziewczęcia!
Cóż ty na to, Mecenasie;
W lat piętnaście, w samym czasie
Właśnie dziewcze do poięcia.

ŻONA.

Cóż ty na to, Mecenasie?
Jaw nam swoie przedsięwzięcia,
Będziemyż mieć w tobie zięcia?
Czy waszmość na męża zda się?

PRAWNIK.

Przy tylu cnotach i krasie
Zacnych rodziców dziecięcia,
Los móy nie iest do poięcia!

CZESŁAW I ŻONA (*razem*).

Dobrze myślisz, Mecenasie;

ZOFIA.

Co się tycze mego losu,
Niech ia moię myśl otworzę.

CZESŁAW.

Masz na tym przestać wyborze.

ŻONA.

Nie pozwalam, nie masz głosu,

ZOFIA.

Słowo iedno

CZESŁAW (*z żoną*).

Ani słowa.
Cała iuż rzecz iest gotowa,
Już iesteś Mecenasowa.

ZOFIA.

Rzecz ta dla mnie wcale nowa,
Nie będę Mecenasowa.

FIRCYK (*z ironią*).

Człek tak słuszny, taka głowa,
Fortuna pewna, gotowa,
Pomyśl: co to patronowa!

CZESŁAW (*z żoną*).

Już więc cała rzecz dobita,
Nasześ, jurysto i kwita.

FIRCYK.

Człek tak słuszny, taka głowa,
Jak pięknie pisze, iak czyta!

PRAWNIK (*na stronie*).

Partya tak wyśmienita
Jak *marka*, grzywna, *luita*.

ZOFIA.

Srogi los dla mnie dziewczyny,
Już mi szczęście nie zaświta.

F i r c y k.

Tak pięknie pisze i czyta.

C z e s ł a w (*z żoną*).

Jutro wasze zaręczyny.

P r a w n i k.

Partya tak wyśmienita.

Z o f i a.

Błagam was, rodzice lubi,
Daycie ucho narzekaniu,
Hymen mnie ten pewnie zgubi
W wiośnie lat mych, w ich zaraniu,

Czesław (*z żoną*) Fircyk.

To też właśnie czas kochaniu.

Z o f i a.

Przez ludzkości sentymenta,
Oycze luby, matko miła!
Umrę piérwéy

C z e s ł a w (*z żoną*).

Będziesz żyła.

Z o f i a.

Umrę...

C z e s ł a w (*z żoną*).

Nie, będziesz kontenta,
Już więc cała rzecz dobita,
Nasześ Jurze, nasz, i kwita.

P r a w n i k.

Partya tak wyśmienita
Jak *marka*, grzywna, *luita*.

ZOFIA.

Już mi szczęście nie zaświta. (*bis*)

CZESŁAW.

Jadę teraz do miasta, niech zaydzie kolaska;
Mamy tyle czeladzi, każdy chce kolędy,
Trzeba wszystkim coś wetknąć, taki zwyczay wszędy;
Rok też na to czekali, raz w gody ta łaska.

ZONA.

A dla mnie niech zaprzęgą te złocone sanie
Z markietanem, albo też te drugie z ieleniem.

FIRCYK.

Przepraszam, rogi iego są dla dam zgorszeniem,
Nie ma zgody!

PRAWNIK.

Ja także łączę moie zdanie,
Nie ma zgody na rogi — zaprządz markitana.

ZONA.

Skoro to iest WaćPana zdanie i WaćPana,
Niechże tak będzie. Janie, zaprządz markietana.
Te dzwonki, ten fiok biały, przy tak wielkim czubie,
Koń móy siwy... ah! mężu! iakże ia to lubię.
Część Warszawy zadziwię, a większą przestraszę;
Boday! szlichtada i te Donkiszoty nasze,
Którzy siędząc w raytuzach, po bruku i szkapie,
Daią odgłos dzielnego ramienia w harapie.

PRAWNIK.

Co ia, to tylko o to moie państwo proszę,
Zebyście mi kazali dać iakie kalosze.
Czasy teraz wilgotne, kataru się strzegę,
Jazda mi nieco szkodzi, piechotą pobiegę.

(*na stronie.*)

Jadąc z niemi trzebaby przysłużyć się darem
Pannie młodey — naylepiey wydrwię się katarem.

J a n.

Już dla państwa poiazdy oba zaprzężono.

C z e s ł a w.

Wnet siadam — uściśniy mnie, rzadka, luba żono!

Z o n a.

Adie móy gołąbku, a powracay szybko:

C z e s ł a w.

Nie zabawię, iak chwilę — do widzenia, rybko.

(*na stronie*).

Szczęśliwy z taką żoną nieba błogosławię...
Może takie!... poczciwszych nie znaydzie w Warszawie.

F i r c y k.

A ze mną nie żegnasz się?

C z e s ł a w.

Rzadki przyiacielu!
Wiem, żeś szczéry, nie mamy teraz takich wielu.

Z o f i a (*całuiąc oyca w rękę*).

Do widzenia, móy oycze.

C z e s ł a w.

Wać masz fomfry w nosie,
Dziewczyno! ktoby to mógł pomyślić na Zosię,
Lat więcey i uporu więcey — smuci mnie to,
Nie naywiększąć to będzie u męża zaletą.

(*odchodzi*).

Ż o n a.

Któryż fiok dałeś, Janie?

J a n.

Ten z wielkiemi dzwónki.

ŻONA.

Ten też chciałam — Fircysiu, iadę na sprawunki.

FIRCYK (*na stronie*).

Jak się tu z tego wydrwić — obawiam się składki.

ŻONA.

Jadąc sanno, czasem się zdarzaią przypadki.
Chcę cię mieć dla tryumfu i moiey wygody,
O czym że się zamyślasz? Nuże! panie młody.

FIRCYK.

Daruy, pani, nie mogę — i duszą i ciałem
Chciałbym ci służyć, ale krew z ręki puszczałem.
Nie mógłbym żadną miarą zręcznie palić z bicza.

ŻONA.

Otoż to mieć takiego migdałka panicza!

FIRCYK.

Lecz za to ubliżenie winney powolności
Wszystkich iutro uprzedzę mym przybyciem gości —
Nie zasypiam w popiele moiey luby gruszki.

ŻONA.

Znam cię, znam cię. Wać zawsze gość na ciepłe nużki.

(*do córki*).

Siądźże ty za mną Janie... a ty moie czaczko
Sfałduy czoło, właśnie ci pięknie bydź dziwaczką.
No, no, — oswoisz się ty, oswoisz, i wieszczę,
Że matce za ten przymus wdzięczną będziesz ieszcze.
Ty, Fircysiu, przynaymniey sprowadź mnie do sanek.

FIRCYK.

Chętnie...

ŻONA (*na stronie*).

Złoto nie chłopiec! drogi móy kochanek.

## SCENA II.

ZOFIA (*na przodku sceny, w głębi Traktyer*).

Zofia (*recitatyvo*).

Przymuszać! nad to srodzy i nadto kochani
Rodzice!... Nie rodzice, lecz raczey tyrani.
Nieba! co powiedziałam—Zbytnia moc wzruszenia!
Na was się raczey trzeba żalić, przeznaczenia.

*Pieśń.*

Losy srogie! nie cofnione!
Slepi dol ludzkich szafarze!
Przed wami się na was skarżę
Złe bóstwa próżno wielbione!
W przeklęstwach wam szlę te echa:
Piorun wasz pierw skruszy skały,
Niż móy umysł wzruszy stały.
Zyię... umrę dla Sieciecha.
Jakieżkolwiek bądź zrządzenie,
Nigdy się dlań nie odmienię.

Traktyer (*przystępuiąc do niey*).

Pani coś niekontenta?

Zofia.

Coż to do waszeci?...

Traktyer.

Piękność tak rzadka, dzieło tak przednie natury,
Nie do twarzy ci Pani ten humor ponury—
I przed naszym okienkiem słoneczko zaświeci.

Zofia.

Nie mogę cię zrozumieć.

Traktyer.

Tłómaczyć się boię.

ZOFIA.

Czemu? nikt nas nie słucha, iest nas tylko dwoie.

TRAKTYER.

Ta rospacz w tkliwym głosie—potrzeba być głazem,
Zeby cię widząc w smutku z nią go nie czuć razem.
Pani! niech zbiegła wróci do ciebie uciecha...
Mogęż mówić?

ZOFIA.

Mów.

TRAKTYER.

Mamy blisko ztąd Sieciecha.

ZOFIA.

A to iak?

TRAKTYER.

Do ostatniey przywiedzion rospaczy,
Ostatnie ważył, niech mu litość to wybaczy.
Użył moiey przysługi, nie zawiodł się na nii,
Oto w koszu go przynieść rozkazałem, pani.
Chcę ią widzieć, i ieźli pozyska te względy,
Mam hoyney obietnicę od niego kolędy.
Każ mu proszę, co prędzey wyyść z tego tarasu,
Biédny kataru dostał, i co moment kicha,
Panie broń, iak posłyszą, narobi się licha,
Rodzice wyiechali, korzystaymy z czasu.

ZOFIA.

Sieciech bez moiey woli wszedł tu pokryiomu?
Sieciech tak lekce waży moią sławę, że ią
Smiał obrazić tak śmiałą, tak lekką nadzieią?
Zeby mi odtąd nogą w tym nie postał domu,
Wyrzucam go na zawsze z serca, powiedź mu to,

(*na stronie.*)

Mogęż być tak daleko z litości wyzutą!
Tego, którego kocham, który za mną ginie!
Winowaycę w tak lubey zastanego winie

Mam gromić? i niewdzięczna wielkość tey ofiary,
Uciemiężać niesłuszney surowością kary?

TRAKTYER.

Już więc nie ma nadziei?

ZOFIA.

Zadney — Jednakowo,
Zeby go za to zgromić mocno i surowo,
Zeby wstydem zapłonął w obecności moji,
Niech przyydzie, tym dopiéro gniew móy uspokoi.

## SCENA III.

SIECIECH, ZOFIA, TRAKTYER.

*Pieśń.*

TRAKTYER (*biegąc do kulisy*).

Prędzey, prędzey.

SIĘCIECH.

Co tam słychać?

TRAKTYER.

Zła, Mospanie, zła nowina:
Siecze, biie, pali, ścina.

SIECIECH.

Cóż z tym robić?

TRAKTYER.

Płakać, wzdychać.

SIECIECH.

O! nieszczęśliwa godzina,
O niedolo! o rospaczy!

TRAKTYER.

Płakać, wzdychać.

Z o f i a (*groźno*).

Cóż to znaczy?
Co za swywolna odwaga?
Zuchwałość czy nie uwaga?

S i e c i e c h.

Daruy, pani, moc kochania,
Zapomnienie się w miłości.

*razem* T r a k t y e r.

Moc ulubioney piękności.

Z o f i a.

Też to drogi pozyskania,
Zgodney z sławą wzaiemności?

*razem* S i e c i e c h.

Szukam względów i litości.

Z o f i a.

Godziłoż się tak postąpić?

Siecіech, (*do Traktyera*).

Jak tu do rzeczy przystąpić?

T r a k t y e r.

Prosić, wzdychać, łez nie skąpić.

S i e c i e c h.

Miłości wybaczyć trzeba,
Gdy mnie chybia iey nadzieia,
Z wściekłością bym Bryareia,
Walczył z bogi, burzył nieba.

Z o f i a.

Lecz co była za potrzeba,
Co cię do tego przywiodło?

S i e c i e c h.

Miłość moich błędów źrzodło.

Kiedy nas okrutna ręka
Przesladuie, tłoczy, nęka;
Łącz twoie usiłowania,
Jeśli znasz, co moc kochania,
Odważ się na moie szczęście,
Tym będzie twoie zamęście.

*razem.*

Gdy kto kocha wiernie, szczerze,
Nie ma winy długo trwałey,
*Sieciech.* Racz uwieńczyć me zapały,
*Zofia.* Wybaczam ci ten krok śmiały.
*Sieciech.* Litość kary mieysce bierze,
*Zofia.* Uderzmy stałe przymierze.
*Sieciech.* Kto kocha wszystko wybaczy,
*Zofia.* Złączenia naszych rospaczy.
*razem.* Oto ręka załład zgody.

TRAKTYER.

Jakżem kontent, bogu chwała,
O szczęśliwe, lube gody...

ZOFIA i SIECIECH.

Miłość mocna, żywa, trwała,
Nią się dni nam słodzić będą.

TRAKTYER.

Wyszedłem z moią kolędą.

ZOFIA.

Przebóg: szelest poiazdów! co poczniem? nieszczęście!
Rodzice powracaią, iedno tylko węście
Do pokoiu; zdybią cię — przebóg! kłopot nowy.

TRAKTYER.

Otoż śliczni amanci! pogubili głowy,
Do djabła, kto się z takiém tchurzostwem zalica,
Daley fartuch do pasa, a na łeb szlafmyca.
Powiem, żeś móy czeladnik; nuże, prędzey, żwawo,
Ubieray się — Przedziwnie, wyśmienicie, *bravo.*
Patrz, pani — nie podobna ubrać się miluchnii,
Tak pan dobrze, iakby się urodził do kuchni.

## SCENA IV.

CZESŁAW, ZONA, ZOFIA, TRAKTYER, SIECIECH, (*iak czeladnik Traktyera.*)

TRAKTYER.

Ma mi co pan rozkazać? czy się nie zabiera
Na nowy bal? nie słychać o iakim pikniku?
Nie rącz pan zapominać swego Traktyera.
Gotowem służyć.

CZESŁAW.

Dobrze, Mospanie Frydryku:
Co się tycze rachunków, przyszliy czeladnika
Jutro rano, zapłacę waści do fenika.
Kontent iestem, żeś tani, i że daiesz wiele.

TRAKTYER.

Przypominam też państwu córki ich wesele,
Niechay ia, nie kto inny, piekę korowaie.

ZONA.

Co tego, to bądź pewien, słowo na to daię.

TRAKTYER.

Kiedyż to? żebym wiedział?

CZESŁAW.

Już waści ostrzegą.

ZOFIA.

Można mówić: Traktyer doskonały z niego;
I nieprzyiaciel tey mu nie uymie zalety,
Wdzięcznam ci, móy Frydryku, szczególniey za wety.

TRAKTYER.

Słowo dobre nad wszystko stokroć więcey ważę,
Tym chętniey służyć będę, w czym pani, rozkaże.

SIECIECH.

Ja też sobie zamawiam część w tym łask udziale,
Skoro, pani, tak grzeczna dla pana, nie wadzi
Przymówić się o fawor także dla czeladzi,
Nie raz się przy ognisku uznoię, upalę.

ZOFIA.

Nie zapomnę, kochanku.

TRAKTYER.

No, no, panie młody,
A zaraz chciałby coś mieć? schoway się na gody,
Wtenczas Jeymość, wiem, że ci datku nie odmówi,
A teraz kosz na ramie, daley ku domowi.
Nuże pośpiesz się — patrzcie! nie widzieli drąga,
Jakby tu chciał nocować, panicz się ociąga.
Dobranoc państwu memu — iak nayuniżenii
Kłaniam — pomniy pan, że ia koroway piec będę.

CZESŁAW.

Będziesz, będziesz, już się to pewnie nie odmieni.

TRAKTYER (*do Zofii*).

A u pani zamawiam na iutro kolędę.
(*odchodzą*).

## SCENA V.

CZESŁAW, ZONA, ZOFIA.

CZESŁAW.

Dał nam pan Bóg nowy-rok, iest to pora święta
Kontraktów na offerty, i czcze komplementa,
Któremi się somsiedztwo wzaiemnie uracza,
Głupstwo to... Lecz cóż robić, *wlazłszy między wrony*
*Trzeba*, mówi przysłowie, tak *krakać*, *iak ony*:
Z pijanemi, choć kto trzezwy, niechay się zatacza.
Człek poczciwy ściska się z filutem, z szachraiem,
Nie za skłonnością serca, ale za zwyczaiem.

Inni tak robią ze mną, a zatym i mnie to
Godzi się; równą sobie płaciemy monetą.

(*do żony i córki*).

Pódźcie teraz do siebie, mnie tu mała chwilka
Zatrzyma: mam na iutro pisać listów kilka.
Matka, niech sobie spocznie, a Jespanna córka,
Niech biletów wizytnych raczy dobyć z biórka,
I pięknym charakterem, ze wszelkiém staraniem,
Poprzypisuie — *Nowy-Rok z powinszowaniem.*

Ż o n a (*do córki*).

Słyszysz? co mówi oyciec — Dobranoc, kochanie!
Jeszcze iedno (*całuią się*) i ieszcze raz pocałowanie.

Z o f i a, (*pocałowawszy oyca w rękę*).

Spokoyney nocy życzę, (*na stronie*) na prędsze snu
przyyiście,
Weźmy pewne opium, myślmy o juryście.

## S C E N A VI.

CZESŁAW (*sam siada do pisania listów*).

Gdy z młodu bawiłem się rzemiosłem autora,
Pomnę, że noc naylepsza do konceptów pora;
Wtenczas to luba władnąc zmysłami obłuda,
Tworzy myśli szczególne wyobrażeń cuda,
Czego nie ma, nie było i nie ma nadzieię,
Żeby być mogło, gdy się łeb pracą zagrzeie,
Musi wreszcie urodzić. W tym przypadku właśnie
Jestem teraz, omal mi łeb z myśli nie trzaśnie.
Potrzeba wygotować na iutro bilety
Do tych, którzy moiemi zwą się przyiacioły,
Nie żebym miał im sprzyiać, ale z etykiety,
Jedne ze mną częstokroć obsiadali stoły.
Nie raz pobiliśmy się, powadzili z sobą,
Nareście zgoda — co iest naypiérwszą serc probą.
Piszmy... móy Boże! ile, nim ieszcze zaświta,
Dóm móy nie będzie iutro mieć ludzi gatunków,
Nie iednego filuta, zdraycę, pasorzyta,

Przyiaciół nie osoby, lecz stołów i trunków.
Wszędzie podstęp, nieszczérość, ostróżność i zdrada,
Każdy czym inszym, niż iest, okaże się wcale.
Nie dziw, ludzie to samo są, co maskarada:
Bawiemy się na świecie, iak na karnawale,
Nowy-rok go otwiera!... gdyby kończył stary!
Ale niech mnie to smutne nie utrapia czucie,
Bawmy się z zapomnieniem, tak, iak na reducie;
Demaszkować naywiększa zniewaga maszkary.
Ale co słyszę! szelest iakiś — przebóg! trwoga,
Strach mnie przeiął, ieżeli tylko nie nadzieia
Kolędy sprowadza tu iakiego złodzieia?

## SCENA VII.

MERKURY, CZESŁAW.

MERKURY.

Trutniu! gdy nie złodzieiów? oszczędzay ich boga.
Wiesz kto iestem?

CZESŁAW.

Nie chciałbym.

MERKURY.

Wznieś oczy do góry.

CZESŁAW.

Widzę, panie, złodzieiów bóg iesteś Merkury.

MERKURY.

Przestań lękać się, słuchay, zwiastuię ci dziwy.

CZESŁAW.

Słucham, obcować z bóstwy, nadtom człek szczęśliwy;
Ale iak tu wniść mogłeś, gdy izba zamknięta.

MERKURY.

Cóż ci się być godowe zdaią komplementa?
Mizantropeś, Czesławie. Dopiéro tu na nie,

Sam do siebie gorliwe mówiłeś kazanie,
Gryzły cię głupstwa cudze, śmiał się Jowisz z twego.

C z e s ł a w (*na stronie*).

Ciekawy iestem, co mu z Jowiszem do tego.

M e r k u r y.

Zdziebło w oku bliźniego w swym nie widzi belki,
Przecież ten, mówił Jowisz, Czesław truteń wielki:
Merkury! leć co prędzey do tego głupiego,
Ulecz go na tę śmieszną chorobę śledziony,
Zanieś mu dar odemnie.

C z e s ł a w.

Sługa niżony.
Wdzięczen iestem za pamięć o moiey kolędzie,
Tymczasem pan Merkury, niech sobie usiędzie.
Nim dwunasta uderzy zabawiemy siebie,
Chciałbym też dowiedzieć się, co tam słychać w niebie,
Bo u nas nie naylepiey. Zwłaszcza o obłudzie;
Czy wasi święci są tak chytrzy, iak my ludzie,
Czyli z sobą obcuią, sprzyiaźniaią, zwodzą,
Piią, iedzą, winszuią, kłucą się i godzą?
Naybardziey czy tam zawsze wesoło, nie nudno?
Bo co u nas to o ten towar bardzo trudno.

M e r k u r y (*na stronie*).

A cóż to za gaduła! dokończyć mi nie da.

C z e s ł a w.

Słowem, ten świat nasz istna maskowana biéda,
Ale, mówiąc o darze, którym mnie obsyła
Jowisz, chcę go co prędzey obaczyć; musi to
Być coś osobliwszego, sadzono i lito,
U bogów nic średniego, i drogo i siła.

M e r k u r y.

Dayże mi skończyć.

C z e s ł a w.

Wdzięczność moia wada,

Trudno ustom zakazać, kiedy dusza rada.

MERKURY, (*wyimuiąc szlafmycę*).

Ale ciszey, mówię ci — Otoż ta szlafmyca...

CZESŁAW (*śmieiąc się*).

Cha, cha, cha, nad zasługi miłościwsze bogi,
Ten dar nie tak wspomaga, iak bardziey zaszczyca,
Pożal się panie Boże tak dalekiey drogi.
Załuię utrudzenia, czy było potrzeba,
Ze szlafmycą na ziemię spuszczać się aż z nieba!

MERKURY.

Człeku bluźnisz.

CZESŁAW.

Panie broń — Znam winny szacunek
Potężnych bogów, wielce poważam ich dary;
I ten zapewne będzie szlafmycy gatunek,
Jeżeli nie na więcey, dobry na katary.
Robota w niey, iak widzę, szczególna, bo dziana,
Musiała ią swoiémi rączkami świętemi
Robić Juno, Wenera, Pallas lub Dyana,
Z tymwszystkiém, rzecz ta u nas dość tania na ziemi.

MERKURY.

Ciemny iesteś, nie wiesz nic, ta droższa nad złoto,
Szlafmyca nie pozorem, ale swoią cnotą,
Gdy ią włożysz na głowę, wszyscy ci domowi,
Zona, krewni i słudzy, każdy prawdę powi;
Choćby naysekretnieyszą, ani się postrzeże.

CZESŁAW.

Właśnie na Babilońską wypada to wieżę;
Daruy, panie, nie wierzę, nie wierzę.

MERKURY.

Czesławie!
Jestem bożek, kłamstwami nigdy się nie bawię,
Bóy się Jowisza, bo iak bluźnierstwo usłyszy.

C z e s ł a w.

Przepraszam, zapomniałem, ale mówmy ciszyi.
Cóż tedy, gdy ią włożę — mówiąc tak o moij
Naprzykład żonie?

M e r k u r y.

Wszystko co tylko pobroi,
Szczérze powie.

C z e s ł a w (*na stronie*).

Bałbym się (*głośno*) a słudzy, sąsiedzi?

M e r k u r y.

Wszystko na się wyznaią, iakby na spowiedzi.

C z e s ł a w.

Móyże ty dobrodzieiu! a toć to dar taki,
Droższy nad dyamenty, rubiny, kanaki.
Niechże za utrudzenie i chęć iey życzliwą
Wolno mi odwdzięczyć mu.
(*chce mu dać pieniędzy*).

Merkury (*z podziwieniem*).

Zapłata dla boga!

C z e s ł a w.

Nie zapłata, lecz grzeczność, nic, tylko na piwo.
(*Merkury idzie ku gabinetowi sypialnemu*).
Dokądże pan? ieżeli nazad — tędy droga,
Proszę nayuniżeniey, sam cię ztąd wywiodę,
Kto zaś widział plądrować moią mi gospodę?

Merkury (*z gniewem*).

Cóż tam daley?

C z ę s ł a w.

Nic daley.

Merkury (*chce odmykać*).

Ale.

CZESŁAW, (*zastępuiąc ode drzwi*).

Ey! do kata.
To iest, Mospanie, moia sypialna komnata.

*Pieśń.*

Bóg u kobiéty śmiértelny,
Jeszcze co ma wzrok tak dzielny,
Dałby mężowi zjeść djabła!
Przepraszam puścić nie mogę,
Zona mi mocno zasłabła.

MERKURY.

Tym lepiey, więc iey pomogę.

CZESŁAW.

Przepraszam puścić nie mogę,
Obudziłbyś mi niebogę.

MERKURY.

Słyszałem: masz żonę ładną,
Hożą, miłą, czasem tkliwą.

CZESŁAW.

Jako żywo, iako żywo,
Plugawą, brzydką, szkaradną.

MERKURY.

Chcesz? z Jowiszem podziel łoże.

CZESŁAW.

A pfe! zgroza! a! broń boże.

MERKTRY.

Masz przykład Amfitryona,
A z nim tylu mężów innych.

CZESŁAW.

Moia tylko dla mnie żona
Nie iest z liczby żon uczynnych.

MERKURY.

Ale przyznasz, że iest ładna.

CZESŁAW (*na stronie*).

Bóg u kobiéty śmiértelny,
Jeszcze co ma wzrok tak dzielny.

(*głośno*).

Brzydka, plugawa, szkaradna,
Co większa, że mi zasłabła.

(*na stronie*).

Dałby mi panicz zjeść djabła.

MERKURY.

Bądź zdrów, biorę się do drogi.

CZESŁAW.

Szczęśliwey i pomyślney życzę;
Nie chcę uczestnictwa z bogi,
Nie przychodźcie, bo oćwiczę.

MERKURY.

Nie chcesz rogu Amaltei?
Więc za to dostaniesz bycze.

CZESŁAW.

Nie mieycie żadney nadziei,
Nie przychodźcie, bo oćwiczę. (*bis*)
(*Merkury ulata*).

## SCENA VIII.



CZESŁAW (*sam*).

A to wcielony djaboł ten bożek Merkury!
Z oczu mu złodziey patrzy, łotr z całey figury,
Gałgan mi dał w podarku, a może chciał za to
Okraść mnie, doświadczaiąc szczęścia w nowe lato.
Rzadki człowiek beśpieczny, który ma piéniądze,

Od wszystkiego opatrzmy kłótki i wrzeciądze
Zeby, gdy czeladź uśnie, bies nie przyniosł drąba;
Często złodziey znaydzie się, gdy zapora słaba.
Jednak mnie ta mysiurka nie pomału dziwi,
Gust Chiński, (*) kolor słońca i wraz bespieczeństwa
W tamtych stronach; lecz u nas straszny na małżeństwa:
Powszechnie nim się znaczą męże nieszczęśliwi...
Da się to wreście widzieć, nie naydalszy ranek;
Zobaczę, co będzie mógł ten święty gałganek,
Jeśli go tak cudowna, dzielna moc zalica,
Tymczasem pułnoc, niechay to będzie szlafmyca.

(*szmer daie się słyszeć w kulisie*).

Otoż znowu przeszkoda wydarza się nowa,
Ani chybi z kolędą hałastra domowa.

K o l ę d a (*za sceną*).

(*wiele głosów*).

Nowy rok po starym idzie,
Ludzi radzi bies wie czemu;
Jeden winszuie drugiemu:
Wszyscy iak w biédzie, tak w biédzie.

Za zwyczaiem iść nie wadzi,
I my panu winszuiemy,
Lecz czego? sami nie wiemy,
Niechay o tym niebo radzi.

C z e s ł a w.

Wdzięczen chęci, nie hałasu
Dziękuię wam, pomnieć będę;
Przyidźcie iutro po kolędę,
Teraz chcę spać, nie mam czasu.

(*wiele głosów*).

Niech pan żyie wiek Nestora

---

(*) U Chińczyków kolor żółty iest mocno szanowny. U nas w Europie żartownisie mienią go być kolorem mężów zdradzonych.

Do naypóźnieyszego czasu.

Czesław (*nakrywaiąc głowę szlafmycą*):

Wdzięczen iestem, lecz spać pora,
Nie róbcie, proszę, hałasu.

(*wiele głosów*).

Liczy-krupo, kutwo, żydzie,
Zyi w rospaczy, umrzyi w biédzie.
Umiéray nie opłakany,
Liczy-krupo opętany.

# AKT DRUGI.

## SCENA I.

CZESŁAW.

Całą mi noc szczególne marzyły się bayki,
Ludzie iacyś w mienione przybrani kitayki?
Nasz przyiaciel pan Fircyk, miał suknie papuże,
Kotwicę w ręku, a dwie na łbie kity duże.
Przyszły zięć worek spory, a iespani żona
Pochodziła iakoby na Kamaleona.
Choć to wszystko marzenie, iednakże cóś znaczy,
Nigdy ieszcze nie miałem snów takich, iak żyię,
Myślę zawsze po prostu, czynię nie inaczey,
Za cóżby mi się miały śnić *allegorye*.
Jednakże ta szlafmyca ma iakiegoś w sobie
Kaduka, dla tego też będzie dziś na probie;
Spodziewam się dziś różne mieć w domu perory,
Będę ie w niey przyimował, udawszy, żem chory.
Ale moia śpi ieszcze żona, a dziewczyna
Siedząc u gotowalni z fryzerem się kłóci,
Że iey nie dość gustownie na głowie upina;
Dosłyszałem, groziła mu, że go porzuci:
Że ona nie dość piękna, ma być iego wina.
Lecz oto Jan nadchodzi, zaczniymy od sługi,
Po nim wszyscy wciąż swoie mieć będą koleie,
Do woli nabawię się, dowoli uśmieię!
Będą bzdurzyć nie wiedząc co, gdyby papugi.

## SCENA II.

CZESŁAW, JAN.

JAN (*peroruie*).

Czasy, co się przez różne odmieniaią pory,

Słońce, co ie dowarza, i w koleiach młodzi,
Xiężyc, który z gwiazdami...

Czesław (*nakrywszy głowę*).

Dość, dość tey perory,
Domyślam się, móy bracie, o kolędęć chodzi.

Jan.

Od wszystkiego, czyby mi dano ią? nie dano?
Przyznam się panu szczérze, sam ią wziąłem rano.

Czesław (*na stronie*).

Czy doprawdy zaczyna skutkować szlafmyca?

Jan.

Dała mi okoliczność do tego piwnica.
Myśląc sobie: alboż to lepsze garło czyie?
Za co ia mam pić wodę, gdy pan wino piie?
Skoro wszyscy usnęli wszedłem tam pocichu.

Czesław.

Ale iak to być może, kiedy przy mnie klucze.

Jan.

Dla tego też musiałem wziąć się do wytrychu.

Czesław (*na stronie*).

O! dusza niepoczciwa, sumnienie hayducze.

Jan.

Wchodzę, iakém powiedział, godny widok człeka!
Stoią szafki pod liczbą win biblioteka,
Porządek symetryczny, składnie, gdyby w raiu,
Tu kraiowe produkta, malinniki, miody,
Stare, trzezwości dawnych Polaków dowody;
Daley zacni przychodnie od Renu, Tokaiu.
Wszystko przez klassy, wszystko przez departamenta,
Miiam to, idę daley, gdzie szafka zaklęta,
Gdzie naystarsze, które się ledwie kiedy rusza,
I to w czwartą część wieku, w czas jubileusza!

To, pomyśliłem sobie, podniebienia warte
Moiego, i natychmiast wychyliłem kwartę.

C z e s ł a w.

I na kwarcie skończyłeś?

J a n.

Wolne pańskie żarty;
Jednom wypił na mieyscu, dwie wyniosłem kwarty.
*Omne trinum perfectum*? wszak prawda?

C z e s ł a w.

Jak czasem.

J a n.

Opatrzywszy się tedy takowym zapasem,
Pocichu wyniosłem się, a dla niepoznaki,
Poukręcałem we drzwiach wrzeciądze i haki.
Służąc lat kilkanaście, chociaż zawsze kradnę,
Nigdy na mnie nie pada podeyrzenie żadnę.

Czesław (*na stronie*).

A cóż to za szlafmyca nieoszacowana!

(*głośno zdiąwszy szlafmycę*).

Takaż to wierność twoia, ty łotrze, hultaiu,
Tak dobrego dla siebie oszukiwać pana?
Trzy kwarty uronić mi starego Tokaiu?

*P i e ś ń.*

Pódź sam łotrze, pódź hultaiu,
Trzy mi kwarty skraść Tokaiu?
Odday mi ie, odday mi ie.

(*biie go*).

J a n.

Gwałtu; za co pan mnie biie?
Com winien? — przy nowym roku
Piękna kolęda po boku!

CZESŁAW.

Odday wino poganinie!

JAN.

O iakim pan mówi winie?

CZESŁAW.

To, co skradłeś.

JAN.

Gdzie? iak? i co?

CZESŁAW.

O święta! droga szlafmyco!
O smutna dla mnie nowino!
Poganinie, odday wino.

JAN (*na stronie*).

Czy mu kto szepnął do ucha,
Czy się radził złego ducha.

(*do niego*).

Jakie wino?

CZESŁAW.

A przechero!

JAN.

Kto to mówił?

CZESŁAW

Ty dopiéro.

JAN.

Chyba bies w moiey postaci.

CZESŁAW.

Nie masz służby *fort fort* z domu.

J a n.

Niech mi pan piérwéy zapłaci.

C z e s ł a w.

Nie wiem kto zapłaci komu,
Czyli ty mnie, czy tobie ia,
Chowałem w domu złodzieia,
Mam wielkie szkody w piwnicy,
Szkody warte szubienicy.

J a n.

Czy n[illegible] kto szepnął do ucha,
Czy się radził złego ducha.

*razem* C z e s ł a w.

O! nieszczęśliwa nowino,
Tak dobre, tak stare wino.
(*Jan odchodzi*).

## S C E N A III.

CZESŁAW (*sam*).

*P i e ś ń.*

O! szlafmyco droga, święta,
Szlafmyco moia iedyna,
W cudach swoich niepoięta!
Nie znałém cię, moia wina.
Bluźniłem, teraz żałuię,
Przepraszam, wielbię, całuię;
Niebo mnie tobą obdarza,
Szlafmyco! warta ołtarza.

## S C E N A IV.

CZESŁAW, ZONA.

Z o n a.

*P i e ś ń.*

Gdy dusza żywo dotknięta,

Gdy mocną miłością płonie,
Nie sili się w komplementa,
I ia próżnych słów nie ronię,
Na próżne powinszowanie;
Więcey czucia, mniey wymowy,
Przyymiy więc na ten rok nowy
Od serca pocałowanie.

(*na stronie*).

Przyciśnion iakimś kłopotem,
Unika mnie? co ztąd wrożyć!

Czesław (*na stronie*).

Między kowadłem i młotem
Mamże ią włożyć nie włożyć?

Zona (*na stronie*).

Straszna w oczach błyskawica,
Na kogoś pioruny rodzi.

Czesław (*na stronie*).

To żona, a to szlafmyca,
Oboygu się wiara godzi.

Zona.

Przyymiy uściśnienie moie
Wypogodź czoło choć trocha.

Czesław (*na stronie*).

Darmo się podobno boię,
Zona moia tak mnie kocha!
(*sciskaią się*).

(*razem*).

Więcey czucia, mniey wymowy.
*Czesław*. Luba żono,
*Zona*. Mężu drogi,
Zyy wiek długi, żyy wiek błogi,
Z dodatkiem dni mych połowy;
A na dowod czułych chęci,
Gdzie roskosz zawiązki bierze,

Złożmy w ustach to przymierze;
Przy wierney serca pieczęci.
(*caluią się*).

C z e s ł a w.

Daruy, kochana żono! choć mniey przyzwoicie,
Ale z moią wygodą, że głowę nakryię.
Wiatr mi ją trocha zawiał.

Z o n a.

Moie drogie życie!
Gniewasz mnie, z żoną swoią te ceremonie.

(*Czesław nakrywa głowę*).

Cóż to za gniazdo sowie?— dla boga! *odoru*;
Patrząc na cię, iuż mi się na żołądku zwiia.

C z e s ł a w.

Co zaś mówisz, tak piękna, droga materya!
Chybaby nie dość była gustowna z koloru.

Z o n a.

Aż nadto przyzwoita tobie, koczkodanie!
Czyż na tey małpie iaki stroy lepszy przystanie,
Ty może rozumiałeś dotąd, specyale,
Ze za tobą przepadam — nie kocham cię wcale,
Wybiy to sobie z głowy — Taka stara wyga!
Gdy pomyślę, natura na ciebie się wzdryga.

C z e s ł a w.

A lat długich życzysz mi?

Z o n a.

Ale iak nie szczérze!
Obym prędsze za ciebie mówiła pacierze!
Zeby mnie śmiérć z przykrego wywiązała sidła!
Cóż ten nasz związek, ieźli nie ciężka niewola,
Jeźli nie uzda, którey przygryzam wędzidła,
Jeźli nie pełna trosków i biédy niedola.
Jeszczesz w początkach! gdyśmy z sobą się pobrali!
Serce moie na nie się nie ze wszystkiém żali.

Cierpiałam cię przynaymniey.

Czesław, (*zdeymuiąc szlafmycę*).

A teraz?

Zona (*z naymocnieyszym umizgiem*).

Ah! ginę

Za tobą, tyś iest moie kochanie iedyne.

Czesław (*nakrywa głowę*).

Nadtom zatulił uszy — zdało mi się może,
Dla wszelkiey więc pewności na bakier ią włożę.

Zona.

Niegodny serca mego! nie ludzki i gruby,
Starałżeś się mi kiedy słodzić przykre śluby
Uleganiem, grzecznością?... obmierzły tyranie...

Czesław (*na stronie*).

Otoż, to moie bóstwo, to moie kochanie!

Zona.

Znosiłam, pókim mogła, lecz widząc nareście,
Ze mnie iak niewolnicę zażywasz w areście,
Umyśliłam zwierzyć się w moim żalu rzewnym....

Czesław.

Komuż to? przyiaciołom, matce, albo krewnym?

Zona.

Co nie, to nie.

Czesław.

Sąsiadkom?

Żona.

Na takie przypadki,

Sąsiadów przybieraią w pomoc, nie sąsiadki.
Rozumiesz, gapiu. Czy wiesz, co mówili na to?
Oto, żeś wart być dawno przybranym rogato.

CZĘSŁAW.

A dla boga! co słyszę. Zginąłem, zginąłem.

ZONA.

Co widzę! pobladł, oczy stanęły mu kołem!
Co ci iest?

CZESŁAW.

Aż nadto źle.

ZONA.

Powiedź, iestem czuła.

CZESŁAW.

Ta też to twoia czułość dni moie zatruła.
Niechay tu prędzey przyydzie moia córka...

ZONA.

Twoia?
Tak to bezpiecznie mówisz?

CZESŁAW (*zrywaiąc z głowy szlafmycę*).

Tak iest córka moia.

ZONA.

Przyymiyże ią łaskawie, dziewcze pełne trwogi,
Zahukane... Dam iey znać. (*odchodzi*).

## SCENA V.

CZESŁAW (*sam*).

Specyalik drogi!
Można mówić, pięknych mi udzieliła wieści!
O! przeklęty rodzaiu, rodzaiu niewieści!
Koniec końcem, iestem mąż, a z powszechnym szwankiem,
Tylko mąż! mniemałem się razem być kochankiem.

*Pieśń.*

O! gniewnych bogów posłanie,
Szlafmyco! piekielny płodzie,
Mądrym Polak, lecz po szkodzie,
Za ciekawość ukaranie!

Otoż to dziś mam w kolędzie,
Wyższy iestem na dwie piędzie.
Nie spodziałem się, niestety!
O kobiéty! o kobiéty!
O szlafmyco! piekła płodzie,
Mądry iestem lecz po szkodzie.

## SCENA VI.

CZESŁAW, TRAKTYER.

TRAKTYER.

Wczora w wieczor, ieżeli pamięć mnie nie zwodzi,
Nadeyść mi z reiestrami kazał pan dobrodziy.
Do trzeciey w noc nie spałem, starałem się o to,
Ażeby nie uchybić prawdy iedną iotą;
Rzetelniem wyrachował wszystko, aż do *zero*.

CZESŁAW.

Człek poczciwy z weyrzenia, nie śmiałbym inaczey
Myśleć — ale ta rzecz się natychmiast obaczy;
Dowiem się od szlafmycy moiego proroka,
Czy taki panicz w duszy, iak zda się do oka.

TRAKTYER.

Pan dobrodziey daremnie wietrzy swoię drogę
Głowę — przenieść na sobie tey rzeczy nie mogę;
Choć mi się bratać z pany podłych widzieć zdarza,
Nie wchodząc, ieżli to ich zaleta, czy wada,
Wiem tylko, że ta dla mnie grzeczność nie przypada,
Proszę, ceremonii żadnych dla kucharza.

CZESŁAW.

Rzadki!... zna się na sobie. — Mówiąc tedy o tych

Reiestrach, iaka może być *summa summarum?*

TRAKTYER.

Bagatela, nie wiele, sto czerwonych złotych.

CZESŁAW (*nakrywa głowę*).

Nakryię głowę — właśnie dopiéro, katarum
(*czyta reiestr*).

Dostał, wybacz Frydryku: „Artykuł za wety,
„Konfitury, owoce, cukry, galarety,
„Brane od cukiernika na *konto* szczególne,
„Co w móy reiestr nie wchodzi, ni w summy ogólne,
„Ale tylko potrawy, wina i pieczyste.“
Należy sto czerwonych złotych, dość dyskretnie.

CZESŁAW.

Kalkuluiesz waść pięknie, ale kradniesz szpetnie!
Wino niewytrawione, mętne, złe, nieczyste,
Nie tak winem, iak raczey można nazwać lurą;
Potém, iakąś djabelską trąciło mixturą!
Za takiego butelkę dukat? czy się godzi?

TRAKTYER.

Krtém wsypał *foenum graecum*? cóż to winu szkodzi?
Prawda, że ie dla innych za połowę daię;
Ale, gdzie mogę udrzeć, nie żałuię sobie.
Tak krawiec kraie, iak mu materyi staie,
Jeźli nie na bogatszych, na kimże zarobię?

CZESŁAW.

A cyganie, arabie, bisurmanie, żydzie,
Otoż nic nie zarobisz, na wpół wszystko idzie.
Masz pięćdziesiąt dukatów, więcey ni halerza;
A ieźli będziesz sarkać, szlę do prezydenta,
Przyydzie straż mieyska; w ścisłe okuią cię pęta,
I ukarzą przykładnie, tak, iak win fałszerza.

TRAKTYER.

Mnieysza o to: drwię z ciebie i z twoich dukatów,
Z straży, z pachołków mieyskich, i z ciurów i z katów.

Zyskałem wczora więcey; dał mi Sieciech dwieście,
Że mu do twoiey córki ułatwiłem weście.
Jak się też oni z sobą pieścili, ściskali....

Czesław (*na stronie*).

(*głośno*).

Czego się dowiaduię, przebóg! i co daliy?

Traktyer.

*Pieśń.*

Gdyśmy tu przynieśli kosze,
Szczęśliwy obrót! zważ proszę,
Litość mnie wzięła nad biednym;
Przyniosłem Sieciecha w iednym.

Czesław.

O! bezbożni o! hultaie!
O czasy! o obyczaie!

Traktyer.

Gdyś ty był w mieście i żona,
Widział się i bawił z Zosią
Ucałował oczki, nosio...

Czesław (*na stronie*).

Przebóg dziewczyna zwiedziona.

(*do niego*).

A! bezbożny, niecny drabie,
Precz z oczu, bo cię zadłabię.

Traktyer.

A moie pieniądze?

Czesław (*zdeymuiąc szlafmycę*).

Grabię.

Traktyer.

A to za co?

C z e s ł a w.

Do rosprawy.
Nim się processa wyśpieszą;
Nim cię zetną, nim powieszą,
Na przykład całey Warszawy.

T r a k t y e r.

Więc i ia póydę żałobą,
Uformuię process z tobą,
I zaraz szukam iurysty.

C z e s ł a w.

O! złośliwy duch nieczysty,
O! złoczyńce, o! hultaie....

T r a k t y e r.

Nie prawda, on w sprawach staie,
*I pro vexa indebita*,
Za niesłuszne pomawianie,
Kością tobie w gardle stanie,
Będzie wieżą i *luita*.

(*odchodzi*).

C z e s ł a w

O! złośliwy duch nieczysty,
Zbuntuie na mnie iurysty.
O! bezbożni o! hultaie,
O! czasy o! obyczaie.

## S C E N A VII.

CZESŁAW, ZONA, ZOFIA.

Zona, Zofia.

*Duo.*

Czułe serca zniewolone,
Nie maią droższey ofiary
Nad mocne serca pożary,

Zadnym czasem nie zgaszone.

Te i naszych są zadatki;
Wdzięczność córki, miłość matki,
Która nigdy nie ustanie!...
Tym kończym powinszowanie.

CZESŁAW (*na stronie*).

Patrzać na nią nie mogę — poczekay filutko!
Wezmę cię odtąd w ryzę, będę trzymał krótko.
Jak sobie wspomnę na to smutne doświadczenie!...

(*głośno*).

Bodaybym był nie wiedział! ... Proszę uniżenie
Moia pani, zostaw mnie tu na chwilkę małą,
Mam iedną wyrozumieć rzecz z naszey dziewczyny.

ZONA.

Za cóż nie przy mnie?

CZESŁAW.

Mam w tym szczególne przyczyny.

ZONA, (*na stronie*).

Nie mogę wcale poiąć, co mu się dziś stało;
Mruczy, zawraca oczy, przymawia, i gdyra,
Kiedyż mnie Bóg uwolni od tego satyra.

CZESŁAW.

A, ieźli ci to przykro, zostań, lecz day słowo,
Ze, co mówić będziemy, zachowasz w sekrecie.

ZONA.

Naycięższey w świecie rzeczy żądasz po kobiécie.
Lecz, iak mnie dobroć czyni na wszystko gotową,
Będę i w tym powolną, co chcesz? mów bezpiecznie.

CZESŁAW (*na stronie*).

Chociaż robi ladaco, ale mówi grzecznie.
Co tu począć! idzie mi o honor dziewicy,
Idzie o moią hańbę; mówmy bez szlafmycy.

(*na stronie*).

Dziewczyno! patrz mi w oczy. Te duszy źwierciadła
Muszą mi prawdę wydać! Zda mi się że zbladła.

(*patrzy znowu w oczy*)

Owszem zapłonęła się — Niewinność? czy wina?
Nie wiem — ale się lękam.

ZOFIA.

Oycze móy kochany,
Dzień ten tak niecierpliwie od nas pożądany,
Dzień ten, który nowego roku bieg zaczyna.

CZESŁAW (*z ofuknieniem*).

Dzień ten, wiem o tym dobrze, iest dzień roku piérwszy.

ZONA.

Raczże WaćPan dosłuchać iey robienia wiérszy.

CZESŁAW.

Co mi tam takie głupstwa.

ZONA.

Jak wiérsz pełny! gładki!
Jaka szykowność, iaka słów stroyność, i spadki.

CZESŁAW.

Nie o takie tu bzdury idzie.

ZONA.

Ale proszę.

CZESŁAW.

Nadto się długo martwię, nadto długo znoszę.

ZONA.

Niechże skończy:

CZESŁAW.

Nie trzeba!

Ż o n a.

Jak dzikie chimery!
Komplement krótki, wiérszów sto dwadzieścia cztéry.

C z e s ł a w.

Mówię do was nie wiérszem, ale stylem prozy,
Że widząc w domu moim zgorszenia i zgrozy,
Cierpieć dłużey nie myślę. Ta nasza pociecha,
Ten niewinny gołąbek, ta domu podpora
Jedyna... czy wiesz matko! co zrobiła wczora?
Pocożeś tu, panienko, wzywała Sieciecha?
Będąc iuż na wydaniu, miewać schadzki skryte?
Także to na uczciwą przystoi kobiétę?
Teżem z dzieciństwa w ciebie wrażał obyczaie?
Cóż na to?

Z o f i a.

Żem mówiła z Sieciechem, wyznaię.
Sam tu wszedł — śmiałość iego nie iest moią winą.

Ż o n a.

A! niegodziwa a! ty nie dobra dziewczyno!
Też dawałam ci z siebie wzory, te przykłady,
Te ścieżki torowałam, te wskazałam ślady?

Czesław (*do żony*).

Dayże, dayże wać pokoy, nie masz sarkać na co,
Obieście nic dobrego — lecz iey, iak w tey dobie,
Prędzey można wybaczyć, choć czasem przeskrobie;
Ale, ty, iużeś stara, a ieszcze ladaco.

Ż o n a.

Co ty gadasz brutalu? kto ia? iestem stara!

*P i e ś ń.*

Żona:

Sam trup brzydki sam poczwara

Zofia:

O nieszczęście! o rospaczy!

O! wstydzie, hańbo, rospaczy!
Zawsze zrzędzi i dziwaczy.
Ja ladaco? cóż to znaczy?
Co chciałeś zamknąć w tym słowie?

Któż się z Sieciechem zobaczy
Kto go ostrzeże, kto powie?

CZESŁAW.

Co mówiłem, to powtórzę,
Obieście warte po skórze.
Córka nierozsądna, letka,
A ty, choć stara, kokietka.

Zona.

O wstydzie, hańbo rospaczy!
Ja kokietka! co to znaczy?
Co chciałeś zamknąć w tym słowie.

Zofia.

O nieszczęście! o rospaczy!
Któż się z Sieciechem zobaczy?
Kto go ostrzeże, kto powie..?

CZESŁAW.

Nie rodzi sokoła sowa;
Zły owoc znak złego drzewa,
Złość się matki w córkę wlewa.

Zona.

O rospaczy! co za mowa,
Co to iest? chcę się dowiedzić.

Zofia.

Dziśbym umiérać gotowa!
Musi o tym Sieciech wiedzieć,
Ktoś zdraycą! trzeba go śledzić.

CZESŁAW.

Ogień się wielki zapala,
Muszę się mieć odeń zdala.

Zona.

Muszę się tego dowiedzieć.

Czesław.

Parno tu, trudno dosiedzieć.

Zofia.

Musi o tym Sieciech wiedzieć.

# AKT TRZECI.

## SCENA I.

CZESŁAW, FIRCYK.

Czesław, (*u stolika, na którym wino stoi, podaie kieliszek Fircykowi*).

Jeźli ceremonie mogą przystać komu,
To nie tobie, któryś iest przyiacielem domu.
Racz ich tedy zaniechać, chcę tego, i proszę.

Fircyk.

Jest to ciężar naysłodszy, który chętnie znoszę.
Dla ciebie gotów iestem na ciosy, na szwanki,
Za cóż się przyniewolić nie miałbym do szklanki?

(*na stronie*).

Naczczo żołądek obłać — nic ieszcze nie iadłem,
Piérwszy raz obiadowey godziny nie zgadłem.

(*głośno*).

Czyież będziem pić zdrowie na tak dobrym winie?
Godziłoby się nayprzód kochaney Oyczyzny,
Ale ona ma swoie, w Piotrkowie, w Lublinie,
Co festyn, i co gala, i państwo i blizny;
Głoszą ie posiedzenia, seymiki, kiermasze,
Ot naylepiey zrobiemy: wypiymy za nasze.

Czesław.

Kieliszek o kieliszek. Kto kogo wyśpieszy.

(*komenderuie*).

Raz, dwa, trzy.

F i r c y k.

Już wypiłem.

C z e s ł a w.

*Bravo?* to mnie cieszy.

F i r c y k.

Dobrodzieiu! a toć to wino specyalne!

C z e s ł a w.

Nie lura, panie bracie, wino kapitalne.

F i r c y k.

Cóż u ciebie nie smaczne! a toć to iest prawie
Takie, iakiego ieszcze nie piłem w Warszawie.

C z e s ł a w.

Przypadkiem dostałem go, miałem nieboszczyka
Brata świętey pamięci xiędza kanonika,
Nie łożył on w kościoły, prawda, i w kaplice,
Ale znał się na winach, miał dobre piwnice.
Winienem kamieniowi iego i puchlinie,
W których, więcey lat ośmiu z łóżka się nie ruszył,
Żem się po nim dochrapał puścizny w tym winie:
Rok zdrowia czerstwieyszego? wszystkoby wysuszył!
Patrz, pieczątka na korku, kapelusz! kutasy;
Rok tysiąc siedmsetny — nie dzisieysze czasy!..
Daley ieszcze po iedney.

(*piią*).

F i r c y k.

Że też gniazdo twoie,
Tak płodne w wielkie ludzie, w szlachetne heroie!
Przynaymniey z Okolskiego, iak wiem, iak się uczę,
Były w domu Czesławów, i laski, i klucze.

C z e s ł a w (*piiąc*).

Już ie dawna odległość w niepamięć uniesła,
Czasy się odmieniaią, z czasami i ludzie,
Kto miał piérwéy pałace, teraz siedzi w budzie.

Już od stu lat, Mospanie, miiaią nas krzesła,
I ia prywatnie żyię.

F i r c y k.

Bo niechcesz publiki.
Przecięż cię spotykano z szacownemi względy,
Chciano ufność pozyskać, dawano urzędy.

C z e s ł a w.

Moia wina, zanadtom republikant dziki.
Mogłem dawno aniołem być wyższego choru,
Przed trzydziestą lat miałem kredyta u dworu;
Dzwigało się spraw ważnych na tym grzbiecie mnóstwo,
Ziawił się szkopuł cnoty, intratne woytowstwo.
Chciałem się o nie starać, kto inny go dostał;
Skoro tak, pomyśliłem, nie moiey to winie
Przypisać, zły Babilon, niech Babilon ginie:
Postrzegłszy wady w rządzie, malkontentem został,
Osiadłem w domu, patrzę na to co się dzieie,
Nad iedną rzeczą płaczę, nad drugą się śmieię,
Ale zawsze zgrzytaiąc. Owo mówiąc zgoła,
Los błogosławionego, los miałbym anioła,
Gdyby nie ta nieszczęsna umysłu choroba,
Że mi się w naszym kraiu wszystko nie podoba.

F i r c y k.

Arwan tam diabłu swóy kray! skoro ia się bawię,
Piię, iem... byle przeżyć... a co po nas potem
Tam będzie nigdy moim nie było kłopotem.
Specyalneż to wino! — do ciebie Czesławie!

C z e s ł a w.

Piy zdrów.

F i r c y k.

Ale *a propo*. Co też ia to robię,
Spiłem się iak szewc, ieszczem nie winszował tobie.

C z e s ł a w.

Mnieysza oto, mόy bracie.

F i r c y k.

Lecz niewiem, co powiem?
Widzę cię w dobrym mieniu, z czerstwém zawsze
zdrowiem,
Z rozumem, z poważeniem: więc tylko zostaie
Winszować tego, co masz, nic zaś do życzenia.

C z ę s ł a w.

Jak kto chce, żeby było, tak się mu też zdaie.
Wdzięczen iestem, mam iednak moie umartwienia.
Nie chcę ci ich wspominać, miałbyś wraz czuć bole
Moie ze mną — zamilczę, sam przycierpieć wolę.

F i r c y k.

Tybyś miał umartwienia! mów, niech ie podzielę...

Czesław (*na stronie*).

Dobre serce! — Jak rzadcy tacy przyiaciele!
Jak wielka innych tylu od niego różnica!
Już co z nim, to nic moia nie wskóra szlafmyca.
(*zaczyna kichać*).

F i r c y k.

Sto lat zdrowia — i ieszcze drugie sto do pary,
I ieszcze sto — dopókiż tego znowu będzie?
A toć to, przyiacielu, łeb ci się rozsiędzie,
Czas wilgotny, powszechnie panuią katary.
Boday!.. drzwi nie zamknąłem, może to i ze mnie
Przyczyna — daruy proszę...

C z e s ł a w

Nie troszcz się daremnie,
Sam umyślnie zażyłem trocha ciemierzycy,
Dla ulżenia ciężaru, który mam na głowie.

F i r c y k.

To co inszego! niechże będzie ci na zdrowie.
Z tymwszystkim, czy nie lepiey byłoby w szlafmycy?
(*bierze szlafmycę ze stołka, i nakrywa mu głowę*).
Proszę, dozwol mi tego, niech ci ią sam włożę,

Jeszczebyś sobie głowę zaziębił, broń boże.

Czesław (*na stronie*).

Na to trzeba się we łzy rozpłynąć radości,
Tyle przyiaźni, tyle serca uprzeymości!..

(*Fircyk upatruiąc czegoś w pokoiu*).

Coż to ci? mina twoia tak nagle zmieniona?
Szukasz czegoś, iak gdybyś znalazł się w potrzebie,
Albo iakim kłopocie?

Fircyk.

Gdzież waścina żona?

Czesław.

Pewnie chcesz iey winszować? musi być u siebie.

Fircyk.

Pewnie, że warta tego, komuż, ieźli nie iey
Winienem wszystkich moich krzepienie nadziei?
Kawaler *de fortuna*, prócz talentów świata,
Nie maiący własnego w kieszeni dukata...
Widzisz przecie, iak głośno bawię się w Warszawie,
Jaką mam garderobę, koniki, kolaski...
Raz mówiłeś: *muszą ci dawać franmansony;*
Nie zgadłeś, przyiacielu, są to kobiét łaski,
Znayduie się w tym trzeci grosz i twoiey żony.

Czesław.

O! lucyper wcielony — otoż się odkrywa,
Poczciwość żony moiey — na wierzchu oliwa.

Fircyk.

*Pieśń.*

Nadto szczęśliwy na gacha,
Jak ia się nieraz uśmiałem,
I teraz śmieię, cha, cha, cha,
Jakim Wać iesteś cymbałem,
Nie poznać takiego ptaka!
Pomnisz iak z tobą grywałem?

To w pikietę, to w tryszaka,
Tyś wygrywał, bo tak chciałem,
Zebym ci nie psuł humoru.
Czyy to był grosz? twego zbioru.
Od żonym brał, dawał tobie,
Tym iednałem przyiaźń sobie.

C z e s ł a w.

Nadtom się dowiedział wiele,
Otoż to są przyiaciele!
Szubienice, stryczki, haki,
Na przyiaciół rodzay taki.

F i r c y k.

Lub, iak się często wydarza
Dla każdego gospodarza,
Gdy ci się co przywidziało,
Zawszem twoią trzymał stronę;
Z tobą czarno, z tobą biało:
Z tobom powstawał na żonę.
Gdyś ty wszedł, ia wnet byłem,
Gdyś nadchodził, wychodziłem.
Przy tobie zdala, *serio*,
Bez ciebie blisko i mile,
Trawiłem z nią moie chwile;
Otoż to tak teraz żyią.

C z e s ł a w.

Szubienice, stryczki, haki,
Na przyiaciół rodzay taki.
O! zdrayce! nie przyiaciele!
Nadtom się dowiedział wiele.
Gdzież idziesz?

F i r c y k.

A! to wcale pytanie ciekawe!
Gdzieżbym miał? do twey żony na zwykłą zabawę,
Ale zkąd ci się wzięło? mina twoia dzika
Zdaie mi się oznaczać w tobie zawiśnika.
Pfe, wstydź się — taka bzdura, taka bagatela!
Kogoż ieszcze! swoiego bać się przyiaciela.

To lepiey póydź na puszczę, lecz i tam niedźwiedzie,
Możebyś się bał, aliż, który ią uwiedzie.
Lecz ktoś nadchodzi, trzeba bydź ludzkim dla gości,
Zostań tu, a ia póydę do twoiey Jeymości.

CZESŁAW.

Nic z tego, dobrodzieiu. Patrz go, zjadł kot sadło,
Właśnieby też to waści do rzeczy przypadło.
Lecz, skoro między nami idzie tak daleko,
Nie ścierpię, i nie myślę być *Siniorem beko*.
(*wychodzi za nim*).

## SCENA II.

SIECIECH (*sam*).

*Pieśń.*

Cała krew się we mnie ścina,
O! nieba! co za nowina!
O wszystkiém ma wiedzieć oyciec!
Przez kogo mógł tego dociec?
Mamże się smucić nie czynny?
Przedsięweźmy środek inny,
Wymówmy się z iey widzenia,
Szukaiąc ich powtórzenia.

## SCENA III.

SIECIECH, CZESŁAW.

CZESŁAW, (*obracaiąc się w tę stronę zkąd przychodzi*).

*Fort* mi z domu; zdrayco brzydki,
Djabłu cię z przyiaźnią daię.

SIECIECH.

Grożno na kogoś powstaie,
Zadrzały podemną łytki.
Darmo! na odważną trzeba.

Zaczynam; pomożcie nieba.

*(do Czesława)*.

Winowayca sam się stawię,
Błagać cię, zacny Czesławie,
Że mnie trosk twoich przyczyna,
Żal mi błędu, moia wina;
Lecz piękney nie wiń Zofii;
Kochana, wzaiemnie kocha.

C z e s ł a w.

Dziewczyna ladaco, płocha,
A waść zdrayca gorszy żmii.
Dziewczyna iuż zaręczona,
Wydaię ią za patrona.

S i e c i e c h.

Za cóż mam być tak skrzywdzony?
Choć za pieniądze nie staię,
Lecz mam dobre obyczaie,
Tak przynaymni, iak patrony.

## S C E N A IV.

PRAWNIK, *(ciż sami)*.

P r a w n i k.

Cóż to za śmiałe gadanie,
O poważnym naszym stanie.
Mnie to wać przymawiasz?

S i e c i e c h.

Waści.

P r a w n i k.

Ten człowiek szuka napaści.

*(do Czesława)*.

W domu twoim, świekrze taka,
Zuchwałość iednego *fraka*,

Tak bezczelna, tak niesforna!

(*do Siециecha*).

A wiesz waść taktowe *forum?*

S i e c i e c h.

A waść, czy wiesz, gdzie Jeziorna?
*Forum competens honorum.*

C z e s ł a w.

A do djabła co tu robić.

(*do Prawnika*).

Huż, zięciu, nie day się pobić!

Prawnik (*do Czesława*).

Afront wspólny; więc *mutuo*,
On ieden, a nas iest *duo*,
WaćPan z przodu, a ia z tyłu,
Wytrzepmy panicza z pyłu.

C z e s ł a w

Niech się to na tobie skrupi,
Jeśli Zosię kochasz czule,
Idź na miecze, dź na kule.

P r a w n i k

Albo ia tak, iak wy! głupi?
Sliczna Zosia, *rarytesy!*
Nie iey, twoiey chciałem kiesy,
Twoich placów, belwederków!
Dworków, pałaców! budynków,
Ale nie kłótni, rosterków,
A tym bardziey poiedynków.

S i e c i e c h.

O drapaczu, o harpio!
Naywiększy z wszystkich szalbierzy.

P r a w n i k.

Zdaie mi się? czy mnie biią?

Ratuycie, kto w Boga wierzy.

S i e c i e c h.

Dobądź broni.

P r a w n i k.

Będzie sprawa.

*(ieden się porywa, drugi chroni).*

## S C E N A V.

*Ciż sami,* ZONA, ZOFIA.

Zona i Zofia *(razem).*

Co za hałas, co za wrzawa?
Co znaczy dobycie broni?
Ten ucieka, a ten goni.

C z e s ł a w *(rozbraniaiąc).*

Daycie pokoy, bez oręża,
Przynaymniey na suche razy.

S i e c i e c h.

Nie ścierpię waszey obrazy.

Z o n a, *(myląc się).*

Chwała bogu! biią męża.

*razem.* Zofia *(z ukontentowania).*

Sieciech prawnika zwycięża.

Z o n a.

Dobrze tak na zawiśnika,
Przepędził mego Fircyka.

Prawnik *(zawsze uciekaiąc).*

Cóż to za bestya dzika,
Ratuycie, kto w Boga wierzy,
Dobył szpady, i iuż mierzy,
Martwe poty na mnie biią.

Ah! ratuy, panno Zofio. (*bis*).

ZOFIA.

Cała iestem zimna, drząca.
Sieciechu!

SIECIECH.

Słyszę głos luby,
To mi oręż z rąk wytrąca,
To cię ochrania od zguby.

PRAWNIK.

A! niechay go piorun trzaśnie;
Wracam się z tamtego świata.

ZONA.

Kto te w domu wznieca waśnie,
Kto śmie krzywdzić adwokata?

SIECIECH.

Taka zawsze złym zapłata.

CZESŁAW.

Daycież iuż pokóy, do kata.
Niech się ta kłótnia umorzy;
Zle iest, niech nie będzie gorzyi

SIECIECH.

Skoro do tego przychodzi,
Ze mam stracić cel kochania,
Myśl mi ta serce rozrania,
Prędzey umiérać się godzi,
Jak, żebym miał patrzać zdala,
Na szczęśliwego rywala.

CZESŁAW.

Zadaleko rzecz pomkniona!
Wybor śmiérci, albo żona.

ZOFIA.

Jeźli was móy los obchodzi,

Daycie dowod przywiązania,
Przez wolność celu obrania,
Niechay się nam pobrać godzi;
Jeźli zaś nie pozwolici,
Wasza ręka, moie życie.

CZESŁAW.

Zadaleko rzecz pomkniona,
Smiérć nad zamęźcie patrona!

PRAWNIK.

Ja zaś mówię węzłowato,
Dawszy mi oblubienicę,
Umiéraycie wnet rodzice,
Pożegnaycie się z intratą:
Tyle wam dam do wyboru,
Do szpitała, lub klasztoru.

CZESŁAW.

Myśl porządnie ułożona!
Godny sentyment patrona.

ZONA.

Ja zaś tobie mówię tyle:
Jeźli odtąd będziesz przy mnie,
Tak nieczułe, martwo, zimnie,
Przykre sobie słodząc chwile,
Chwycę się zbawienney rady,
Porozumiem się z sąsiady....

CZESŁAW, (*zdeymuiąc szlafmycę*).

Dość, dość iuż iawna rzecz cała,
Daleko się rzecz pomyka,
Złaś, żem wypędził Fircyka,
Któregoś waszmość kochała.

ZONA (*na stronie*).

Czy mu kto szepnął do ucha,
Czy się radził złego ducha.

Sieciech (*do Zofii*):

Straszna w domu zawierucha.

*razem.* Zofia.

Nie wielka dla nas otucha.

Prawnik (*do Czesława wskazuiąc Sieciecha*)!

Swiekrze, otniy tego zucha.

(*na stronie*).

Zżyma się na mnie, nie słucha.
Straszna w domu zawierucha.

Czesław (*do Prawnika*).

Ty! coś chciał moiego zbioru;
Coś nas miał dać do klasztoru,
Za wczesną pamięć i względy,
Proszę za drzwi, droga tędy.

Prawnik.

Głupi! czy go szczarowano.

Czesław.

A ieźli drzwiami nie wola?
Oknem droga, ludzie! hola.

Zofia Sieciech.

Poźno się na nim poznano.

*razem.* Prawnik.

Widzę się na mnie poznano.
Nie ma czego dłużey czekać,
Nim wypchną trzeba uciekać.

*razem.*

Czesław, (*do Prawnika który odchodzi*).

Ten masz posag, to masz wiano.

(*do Sieciecha i Zofii*).

Wasze piękne obyczaie,

Będą wkrótce nagrodzone,
Sieciechu! oto masz żonę.
Zosiu! za mężać go daię.

SIECIECH.

O nader pomyślny losie!
Nayszczęśliwszy, gdy mam Zosię:

*razem.* ZOFIA.

Jedyna w życiu pociecha,
Żądany wybor Sieciecha.

CZESŁAW (*do żony*).

Tobie wymówek nie czynię,
Na ten raz przepuszczam winie,
Wymagam tylko poprawy;
I sam się także poprawię:
Odtąd mniey będę ciekawy,
Ty wiernieysza mnie, i sławie.

ŻONA.

Słusznie iestem zawstydzona,
Ale to tylko przygoda.

CZESŁAW.

Wszystko ci wybaczam, zgoda.

*razem* SIECIECH, ZOFIA.

Po chwili smutney pogoda.

ŻONA.

Zawsze byłam wierna żona;
Nie miałam tego w nałogu.

CZESŁAW.

Lepiey dla mnie; chwała bogu.

*razem.* SIECIECH, ZOFIA.

Pokoy w domu; chwała bogu.

## DOKONCZENIE.

(*wszyscy razem*).

Co było, niechay nie smuci,
Niechay z starym rokiem ginie;
Nowy nam roskosz powróci.

(*Czesław, Zona*).

Wspólney w nas wybaczmy winie.

SIECIECH.

Nowy mi roskosz powróci,
Przy tak cnotliwey dziewczynie.

ZOFIA.

Nowy mi roskosz powróci,
Przy tak uczciwym chłopczynie.

KONIEC.

---